

Katarzyna Karpowicz

Wywiad

Rozmawia Bogusław Deptuła

Pod wodą zbieram myśli



Bogusław Deptuła: Jak to się dzieje, że w rysowaniu tak prędko osiągnęłaś wielką sprawność i własny styl, a w malarstwie ciągle jeszcze nie umiesz się zdecydować, jak ono powinno wyglądać?

Katarzyna Karpowicz: Może to dlatego, że od dzieciństwa ćwiczyłam rękę w rysunku. Odkąd pamiętam, robiłam szybkie szkice – nieważne, czy ładnie wyjdzie, czy nieładnie, ważne, żeby oddać ruch i atmosferę. Malarstwo wymaga już innego trybu pracy. Rysunki są zresztą łatwiejszą formą – trudno przecież jechać na kolonie z farbami i całym warsztatem. Na każdy obóz brałam ze sobą ołówek, kredki i mały szkicownik. Ciągle szkicowałam – dzieci z rodziny podczas zabawy, albo tatę, albo nauczycieli, kolegów w szkole na lekcji; to był nieustanny zapis chwili, tego, co mnie otaczało, ale równocześnie opowiadanie tego, co mam w głowie. Bo najpierw rysowałam z wyobraźni, dopiero później z natury. W liceum na węgry do zoo szłam ze szkicownikiem. Nie wiedziałam, że nieustannie rysując, uczę się i dzięki temu będę rysować coraz lepiej. Nie obchodziło mnie to, robiłam to dla samej potrzeby rysowania, z fascynacji zwierzętami, ludźmi, a przede wszystkim dziećmi, dziećmi w ruchu. Równocześnie malowałam. W malarstwie interesował mnie kolor, a w rysunku linia. Ale ani w rysunku, ani w malarstwie nie szukałam własnego stylu. Nie muszę iść w jakimś konkretnym kierunku, po prostu opowiadam swoją historię i cieszę się tym. Staram się być szczerą, podążać za tym, co dla mnie ważne. Oprócz atmosfery ważne są dla mnie emocje, które malarstwo wywołuje. Staję przed obrazem, powiedzmy, Beckmanna i prawie lzy mi leczą z zazdrości i pytam sama siebie: „jak on to namalował?”.

Myślę, że w malowaniu nie chodzi o to, żeby wykształcić swój styl, ale o to, żeby malować i żeby szukać. Na przykład pójść do muzeum i zobaczyć to, co teraz właśnie trzeba nam odkryć w Velázquezie, Dubuffecie, nawet w abstrakcji, na przykład u Kandinsky'ego. Być może malarz musi dojrzeć, musi długo pracować, żeby siebie odnaleźć, choć później to i tak się chyba przekształca... Z czasem przychodzi spokój.

BD: Widać, że w rysunku inspirował cię David Hockney; kto wśród malarzy jest dla ciebie podobnie ważny?

KK: Jest ich wielu. Jak się bardzo zachwycamy jednym malarzem, to on się może w pewnym sensie znudzić albo wydać się zwykły. Mogę powiedzieć, że ostatnio jestem pod wielkim wrażeniem ekspresjonizmu i Kirchnera. Widziałam we Frankfurcie jego retrospektywną wystawę i poruszyło mnie to, w jaki sposób malował – z taką swobodą i odwagą.

BD: To ostatnio, ale pytam o fascynacje starsze, trwalsze.

KK: Hockney jest dla mnie ważny nie tylko ze względu na to, jak rysuje, ale jak traktuje basen. Te baseny Hockneya i w ogóle sama postać Hockneya, która w jakiś sposób mówi o jego obrazach – to mnie bardzo ujmuje. Oczywiście jest Balthus, co też widać w moim malarstwie. W liceum robiłam nawet transpozycje jego obrazów. Często wykorzystuję fragmenty z dzieł różnych innych malarzy: Piero della Francesca, Giotto, Velázquez, El Greco. Nieustannie odkrywam coś nowego, więc mogłabym wymieniać chyba w nieskończoność. Podziwiam ostatnio na przykład Paulę Modersohn-Becker. Lubię oglądać albumy, ale dopóki nie zobaczę obrazu na żywo, nie mogę powiedzieć, czy ten malarz mi się podoba. A jak chcę sobie dodać energii, wizyta w dobrym muzeum daje mi power, żeby się „rzucić” na płótno i namalować coś dla samego malowania.

BD: A tematy, skąd one się biorą?

KK: Tematy, które są osobiste – baseny czy teraz rzeki, czy śpiące postacie ze zwierzętami – tkwią we mnie głęboko. Wywodzą się trochę ze snów, trochę ze wspomnień.

BD: Dlaczego właśnie baseny?

KK: Baseny zaczęły się od tego, że jako pięcioletnie dziecko, z powodu problemów z kręgosłupem, byłam wysyłana dwa razy w tygodniu na pływalnię. Chodziłam tam bez protestów i nawet nieźle mi szło, mimo że byłam najmniejsza. Zostałam ulubienicą trenera i nawet myślałam, żeby się zapisać do sekcji pływackiej, ale niestety to byłoby zbyt absorbujące przy chorobie taty. Kiedy przyszła, przesiadywałam w swoim pokoju, z muzyką, nad książkami i kartką papieru. Jedyne miejsce, gdzie wychodziłam, to był basen, on był odskocznią. Bardzo dużo rozumiałam, oczywiście instynktownie...

BD: Rozumiałaś, że choroba taty była śmiertelna?

KK: Nie wiedziałam, że tata umrze, ale czułam, że dzieje się coś złego. Niewiele wiedziałam o tej chorobie, bo choć w domu był komputer, nie było Internetu, moi rodzice jako malarze byli zupełnie nietechniczni, trochę zacofani, mimo że był to 2001 rok. Razem z mamą i siostrą opiekowałyśmy się tatą, pomagałam przy nim, a wieczorami wychodziłam na basen, miałam tam dosłownie pięć minut. Tam się zanurzałam. Jak widzisz, jestem zawsze rozgorączkowana, czerwona, wszystko mocno przeżywam, a pływanie mnie ochładza. I w pewien sposób odcina od świata zewnętrznego. Basen był dla mnie ochroną. Ten rytm – uniesienie, lot i odbicie się od brzegu. Jak mantra. Zresztą sport wyzwala endorfiny, zaleca się uprawianie sportu przy stresie. Wracając do domu po basenie, potrafiłam wciąż przebywać na nim myślami, bo mam fotograficzną pamięć. Nie zależy mi na tym, żeby fotograficznie odwzorować to, co widziałam, lecz potrafię sobie przypomnieć atmosferę. Kiedy nie mogłam pójść na basen, wracałam tam w rysunkach. Potem zobaczyłam Hockneya. Zafascynowało mnie jego mistrzostwo w rysowaniu. Album z jego obrazami jest u mnie nieustannie otwarty, przeglądany. Ludzie też mnie interesowali. Dla mnie w malowaniu basenów ważny jest człowiek, jego lot. I to, co woda robi z człowiekiem, gdy on się w niej zanurza. Nie każdy lubi basen, ale dla mnie to jest ważne miejsce, moje własne.

BD: To wciąż rodzaj schronienia? Ucieczki?

KK: Nawet nie ucieczki, ale miejsca, gdzie się zbiera myśli. Chyba każdy ma, albo powinien mieć, takie miejsce, dokąd się idzie, jeśli coś jest nie tak, albo gdy ma się coś do przemyślenia, gdy coś się stało, coś boli czy wydaje się zbyt skomplikowane. Kiedy jestem pod wodą, to mi pomaga. W ogóle lubię bezdech, on też wyzwala w organizmie coś specjalnego. Inna sprawa, że kiedy się dużo pływa, to ma się wytrenowane płuca i nie trzeba tyle tlenu. Pod wodą jestem sama, całkiem sama, odcięta, wtedy coś sobie przypominam, intensywnie myślę, niekoniecznie logicznie. To jest takie miejsce, gdzie... nie nazwałabym tego modlitwą, ale swego rodzaju... terapią.

BD: Oczyszczeniem...

KK: Woda zawsze mnie oczyszcza, kojarzy mi się ze zmywaniem brudu, odczarowywaniem złych chwil, odczynianiem uroku. Baseny mnie kuszą, jest w nich coś apetycznego, mam nieustanny apetyt na wskoczenie do jakiegoś basenu i przepłynięcie się. No i wracam często do tego motywu, po prostu muszę co jakiś czas malować baseny. One się zmieniają razem ze mną. Kiedyś były ponure, teraz nie są. Teraz zobaczyłam baseny z pejzażem. Ostatnio maluję nową serię tryptyków, które są jak kadry z filmu. Często maluję seriami, trochę filmowo, bo poza malarstwem interesuje mnie film. Jako dziecko chciałam być operatorem, opowiadałam historie o dzieciach. Teraz też opowiadam historie – o moich przemyśleniach i snach. W tych tryptykach, które maluję, staram się opowiedzieć na przykład historię pływaka. Pływak w pierwszym momencie jest w wodzie, w drugim unosi się z wody, jakby leci nad basenem, a w trzecim znika, są tylko chmury, które akurat zauważyłam nad Salwatorem w Krakowie, takie dziwne, graficzne.

BD: Twoje obrazy mają bardzo redukcyjny charakter, są pozbawione detali, takie ideowe. Czym właściwie jest dla ciebie obraz?

KK: To trudne pytanie. Mogę raczej powiedzieć, czym obraz dla mnie nie jest. Przede wszystkim nie ma odzwierciedlać rzeczywistości. Nie jest też ważna koronkowość ani ozdobność. Nie interesuje mnie detal, bo nie maluję obrazu po to,

żeby pokazać, że coś jest ładne. Nie chcę się popisywać. Czasem detal jest potrzebny, ale nie maluję detali dla detali. W obrazie ważna jest atmosfera i historia. Choć nie zawsze trzeba opowiadać wszystko po kolei. Ostatnio zauważyłam, że warto obrazy redukować, bo przez to stają się mocniejsze. Bardzo lubię malować ludzi, korci mnie, żeby rysować każdą twarz. Znam mnóstwo twarzy i emocji, które chciałabym przekazać. Ważne są też relacje. Ale czasem, kiedy czyjaś twarz się odwróci i zobaczę inny szczegół albo gdy z jakiegoś szczegółu zrezygnuję, to coś innego wybrzmiewa mocniej. Dlatego właśnie czasem pomijam detale, żeby wydobyć coś innego. Kolor, atmosferę, bryłę.

BD: Ale kolorystką to ty nie jesteś. Wybierasz zazwyczaj zestawienia mało dźwięczne kolorystycznie, stonowane: brązy, zielenie, błękity.

KK: Mimo to kolor jest dla mnie ważny. Nie chodzi o to, żeby było kolorowo. Instynktownie wybieram barwy, które dla mnie lepiej brzmią.

BD: Czyli wolisz takie melodie, w których jest mniej nut?

KK: Niekoniecznie...

BD: Ale redukując detale i kolory, jakby sama się ograniczasz. Dążysz do syntezy?

KK: Być może podświadomie... W niektórych obrazach rzeczywiście da się zauważyć takie ograniczenie – zgaszenie koloru, jakąś redukcję formy. Przez to nie zawsze zdołam w jednym obrazie zawrzeć wszystko, co bym chciała powiedzieć. Pewnie dlatego maluję serie, dopowiadam kolejne historie. Brak mi dystansu, żeby spojrzeć z boku i podsumować kolorystykę. Ale z drugiej strony mam też obrazy bogate w detale i mocniejsze w kolorze.

BD: Sądzę, że jednak świadomie uprawiasz prymitywizację. Gdy pierwszy raz zobaczyłem twoje obrazy, a nawet w ogóle pierwsze z twoich obrazów, to myślałem, że to takie trochę nieporadne, że może czegoś nie umiesz. Ale teraz, kiedy widzę te rysunki, to wiem, że ty wszystko umiesz, że upraszczanie form nie wynika z nieumiejętności, tylko z chęci malowania w taki właśnie sposób. Bo są malarze, którzy skończyli Akademię i nie umieją malować, ale ty do nich nie należysz. Ty świadomie wybrałaś taką drogę.

KK: Być może... Wydaje mi się, że skorzystałam z nauki w Akademii. Nie udawałam, że studiuje, wykonywałam wszystkie zadania, chodziłam systematycznie na zajęcia, łącznie z teorią sztuki. Co pół roku zmieniałam pracownię rysunku – na przykład byłam jakiś czas na rzeźbie. Na dyplom malowałam z natury muzyków. Przychodzili do mnie ludzie z Akademii Muzycznej i grali, a ja ich malowałam. To było bardzo realistyczne studium postaci. Pomyślałam, że to ciekawa droga, żeby zrobić coś w stylu Balthusa – przede wszystkim obserwacja rzeczywistości. Później zrozumiałam jednak, że Balthus rzeczywistość mocno przesiewał przez swoje widzenie, używał własnej ekspresji. Jeśli chciał, potrafił realistycznie namalować kobiety, ale nie o to chyba chodzi w malarstwie. Oczywiście nie wszystkim się to podoba, taki ruch, taka poza, takie kolory, można nawet powiedzieć, że się pomylił, malując kogoś z wielką głową. Taka w pewnym sensie nieumiejętność jest też na przykład u Wróblewskiego – jego postaci mają jakąś sztywność, ale patrząc na jego grafiki czy rysunki malowane piórkiem, pędzelkiem, wiemy przecież, że świetnie rysował. W moich obrazach postaci też mają tę sztywność, są widziane w inny sposób, niż to się dzieje normalnie.

BD: Czy to jest rodzaj filtra, okularów, które zakładasz, żeby skanować rzeczywistość i żeby ona u ciebie wyglądała inaczej?

KK: Co innego malować człowieka z natury, a co innego namalować istotę człowieka. Wtedy nie jest ważne to, co się widzi, ale to, co się o tym człowieku wie. Powtarzam, chyba za Japończykami: nie maluj drzewa, tylko maluj drzewiastość. Mogłabym malować ludzi tak, jak wyglądają, ale samo malowanie prowadzi mnie w inne rejony – redukuję, zmieniam, w pewnym momencie niektóre postaci są usztywnione, inne są bardziej naturalne i nie przeszkadza mi to, wręcz jest potrzebne. Spójrz na przykład na Beckmanna...

BD: ... z którego zresztą dużo wzięłaś...

KK: ... Tak, bardzo dużo. Kolor, atmosferę... Te czarne linearne obrysy postaci mieszają się z żółcią albo kolorem ich ciała i to nie przeszkadza, wręcz wydaje się bardzo trafione... Dla mnie najfajniejsze w malarstwie jest to, że właściwie można wszystko i nie należy się przejmować.

BD: Na koniec pytanie retoryczne: ponieważ twoi rodzice byli malarzami, właściwie nie miałaś wyjścia – musiałaś zostać artystką?

KK: Ostatnio o tym myślałam, bo często mnie o to pytano. Odpowiadałam, że rodzice niczego mi nie narzucali. Nie powinno się mówić dziecku, że ma zostać prawnikiem czy lekarzem. Moi rodzice byli bardzo otwarci, kochający i jeśli chodzi o wybór zawodu, nigdy mnie do niczego nie namawiali, ale ja się wychowałam w ich pracowni, w zapachu farb. Zawsze im zazdrościłam, że mają sztalugi, mogą malować farbami olejnymi, a ja nie. Tata mi to rekompensował tak, że czasem podrzucał mi na biurko fajne zestawy kredek. A czasem pozwalał mi się pobabrać w farbach olejnych, miał tę

odwagę, bo mama już nie. Ale oboje doceniali to, co robiłam. Byłam dzieckiem bardzo cichym, takim wiecznie rysującym samotnikiem. Nigdy nie robili mi korekty, tylko zachęcali: „bardzo dobrze, rób tak dalej”. Myślę, że aprobatą z ich strony była ważna. Nie wyganiali mnie z pracowni, ale znałam swoje miejsce i nie pętałam się im pod nogami, gdy pracowali, nie uczestniczyłam też w ich życiu imprezowym, artystycznym, chodziłam spać o normalnej porze. Ale jednak dom był pełen ciekawych ludzi, zawsze ktoś przychodził na zupę, myślałam, że ci wszyscy artyści to moja rodzina. Do dziś wielu krakowskich malarzy jest mi bardziej bliskich niż rodzeni wujkowie i ciocie. Gdybym żyła w innej rodzinie, to nie miałabym dostępu do tego wszystkiego – do takich albumów, materiałów, rozmów. Dzięki rodzicom to jest dla mnie środowisko naturalne i jestem im za to bardzo wdzięczna.

Redakcja: Wojciech Tuleya, Małgorzata Czyńska

Copyright © Galeria Art 1963-2011, Ul. Krakowskie Przedmieście 17, 00-071 Warszawa

Tel: +48-22-828 51 70, Fax: +48-22-651 77 29, Mobile: +48-501 394 342, E-mail: tuleya@tuleya.com.pl